

TATUSIOWA CÓRECZKA

Dorota Krzywicka-Kaindel

córka Profesora Walerego Pisarka

Na początku pierwszej klasy wróciłam ze szkoły z pretensją: „Pani pytała nas o zawody rodziców i wszystkie dzieci wymieniały bez zająknięcia tokarz i pielęgniarka, ślusarz i sprzedawczyni, motorniczy i nauczycielka. Tylko ja nie umiałam odpowiedzieć. Dlaczego wy nie macie jakiegoś normalnego zawodu?”. Stropieni rodzice chcieli wiedzieć, co w końcu podałam. „Nic! – odparłam – Pani zapytała, co rodzice robią, kiedy są w pracy. Powiedziałam, że siedzą przy biurku, ona chciała zapisać «urzędnik», ale się nie zgodziłam”. Tata odrzekł: „Podaj, że tata jest byłym górnikiem”.

Nie wiedziałam wtedy, że w latach 1952–1955 pracował na przodku w kopalni Jawiszowice-Brzeszcze. Nie wiedziałam, że był więźniem politycznym. Takich rzeczy dzieciom się przecież nie opowiadało. Jednocześnie jego przeżycia z więzienia i obozu pracy należały przecież do bardzo niedawnych: urodziłam się kilkanaście miesięcy po wyjściu ojca na wolność. Dziś wiem, że widocznie wspomnienia te były tak mocne, niezabliźnione rany duchowe tak świeże, że musiał o tym mówić. Dlatego śpiewał mi na dobranoc więzienną piosenkę zamiast kołysanek, z błyskiem w oku tłumaczył mi, kilkuletniej dziewczynce, jak trzymać nóż, chcąc kogoś skutecznie zaatakować, wyjaśniał, na czym polega zabawa w prokuratora Cholewińskiego, nie mówiąc oczywiście, że opisywał więzienny rytuał inicjalny. Zachwycały mnie te historie i piosenki, z zachwytem obserwowałam i starałam się zapamiętać, że atakując, należy trzymać nóż tak, by ostrze znajdowało się między kciukiem a palcem wskazującym, i uderzać od dołu, co utrudni przeciwnikowi udaremnienie ciosu. Pilnie naśladowałam, jak skutecznie imitować skaleczenie ręki: należy ostrą szczotką uderzać się po wierzchu dłoni, a następnie wymachiwać energicznie całym ramieniem, wówczas przez powstałe niewidoczne ranki na skórze wypływa krew, którą następnie należy rozmasować po dłoni.

Pamiętam mój zachwyty, gdy pokazał mi opiłki z gwoździa wędrujące po kartce śladem ruchów prowadzonego pod spodem magnesu. Ale pamiętam też bezsilną złość, kiedy dał mi do pokolorowania sklejoną z paska papieru wstęgę Möbiusa, mówiąc: „Pomaluj z jednej strony na niebiesko, z drugiej na czerwono”, co okazało się niewykonalne, bo przecież wstęga Möbiusa nie ma „drugiej strony”. Dziś domyślam się, że Tata, zmuszony do opieki nad małym dzieckiem, chciał mi znaleźć ciche, trwające dłuższą chwilę zajęcie, które pozwoliłoby mu na niezakłóconą pracę przy biurku. Tak się bowiem złożyło, że we wczesnym dzieciństwie to ojciec właśnie spędzał ze mną więcej czasu niż mama, która po ukończeniu studiów od razu rozpoczęła pracę naukową w Pracowni Składni Staropolskiej Instytutu Języka Polskiego PAN.

Kilkuletni pobyt w więzieniu i status „politycznego” niemalże uniemożliwiły ojcu powrót na studia. Początkowo zatrudnił się w prywatnym zakładzie ogrodniczym. Potem dostał etat starszego robotnika w magazynie opakowań szklanych Hurtowni Farmaceutycznych. Po studiach, które ukończył z kilkuletnim poślizgiem, bo dopiero w 1957 roku (mama, z którą razem zaczynali, została magistrem cztery lata wcześniej), współredagował pismko harcerskie *Dziembra*, pracował jako instruktor kulturalny w Domu Kultury w Nowej Hucie i był nauczycielem w szkole podstawowej położonej na skraju tego nowo budowanego miasta. Wielu uczniów nie mieszkało w świeżo oddanych do użytku blokach, tylko w ubogich i dość prymitywnych chałupach. Tata w trosce o swoich podopiecznych chadzał niekiedy rozmówić się z ich rodzicami. Nie mając mnie z kim zostawić, czasem zabierał ze sobą. Bardzo te wyprawy lubiłam. Wydawały mi się eskapadami na koniec świata. Nie miałam świadomości, że ani cel wizyty, ani treść rozmowy z reguły nie były dla gospodarzy miłe.

Tata nie pracował jako nauczyciel zbyt długo: dała o sobie znać nabyta w więzieniu gruźlica, więc został odsunięty od dzieci. Okazało się, że zaraził też mnie. Mama powiedziała: „Ty ją zaraziłeś, ty z nią chodź po lekarzach”. Kolejnym celem naszych, jak na dziecięce nogi dalekich, pieszych tras była więc poradnia przeciwgruźlicza dla dzieci. W wiecznie pełnej poczekalni wisiał na ścianie spory plakat przedstawiający owoce pod siatkowym kloszem, na którym siedziała nieproporcjonalnie wielka mucha z dymkiem tekstu „tutaj nic nie wskóram”. Bałam się tej muchy, podejrzewając, że słowo „wskóram” oznacza wejść komuś pod skórę. Wyjaśnienie, że słowo to ma wspólny rodowód z korą i korzyścią, przyjąłam z ulgą. Być może wtedy zaczęły mnie bawić etymologiczne opowieści o losach i pokrewieństwie słów, o które często prosiłam zamiast bajek na dobranoc.

Na przełomie lat 50. i 60. ojciec rozpoczął współpracę z Ośrodkiem Badań Prasoznawczych, a w 1962 roku otrzymał etat w Pracowni Językoznawczej OBP. Rok później poszłam do szkoły, gdzie, skonfundowana, nie umiałam podać zawodu rodziców.

Bycie dzieckiem pracowników nauki było wprawdzie trudne, bo rodzice z reguły mieli dla mnie mało czasu, ale obfitowało w niedostępne dla moich rówieśników doświadczenia i zajęcia. Choćby taka maszyna do pisania – czyż można sobie

wyobrazić cudowniejszą zabawkę? Nauczyłam się na niej pisać, jeszcze zanim poszłam do szkoły. A ponieważ zachwycały mnie rządki równych, ładnych literek, dużo zgrabniejszych niż moje dziecinne kulfony, więc stukałam z przejęciem na maszynie wiersze i opowiadania. Napisałam również (jako sześciolatka) kilkustronicową „Malańką encyklopedię muzyki”.

Obserwowałam też mamę pracującą nad doktoratem. Sortowała i klasyfikowała dane za pomocą kart perforowanych na brzegach, używając drutów, którymi poza tym dziergała bardzo piękne, wzorzyste swetry. Wpadałam w zachwyt, widząc, jak „odwirowuje” kolejne stosiki. Ubłagałam mamę, żeby mi było wolno jej w tym pomagać. Robiłam to z takim zapałem, że te odpadające karty fruwały po całym pokoju. Doktorat mamy zdominował nasze życie rodzinne.

Dlatego na jej urodziny nie wyrecytowałam laurkowego wierszyka, lecz pierwsze zdanie z jej właśnie ukończonego doktoratu: „Naczelną tezę pracy jest stwierdzenie, że istnieje niezdaniotwórcza determinacja predykatywna”. Oczywiście był to pomysł taty.

Fakt, że mama wszystkie stopnie naukowe zdobyła przed nim, przyjmował z humorem. Kiedy, po raz kolejny go wyprzedzając, została pierwsza profesorem, ktoś zapytał tatę: „No i jak pana teraz będziemy nazywać, panie docencie? Bo żona profesora to pani profesorowa, ale co w państwa przypadku?”. Tata, niezrażony, odpowiedział natychmiast: „Jak to jak? Profesorowy!”.

Moi Rodzice pochłonięci byli pracą naukową bez reszty. Odwiedzająca nas raz czy dwa razy w roku babcia, mama ojca, z niesmakiem nazywała nas rodziną bor-suków i narzekała, że nie da się z nikim pogadać, bo z wyjątkiem posiłków „każde zamyka się w swojej norze”.

Telewizor stał w kuchni na lodówce. Tata włączał go tylko podczas gotowania: to on był głównie odpowiedzialny na przygotowanie niedzielnego obiadu. Wspólne posiłki upływały zresztą w atmosferze niekończących się dyskusji rodziców na tematy naukowe. Niewątpliwie skrzywiło to mój obraz rzeczywistości, skoro kiedyś, będąc uczennicą szkoły podstawowej, powiedziałam o kimś z lekceważeniem: „Ach, on przecież jest tylko zwykłym doktorem!”.

Bardzo wczesnie nauczyłam się nie zadawać rodzicom pytań. Banalne dziecięce pytanie „dlaczego?” kwitowane było krótką ripostą: „«Dlaczego?» to nie jest pytanie naukowe”.

Ale były też inne przyczyny, dla których oduczyłam się stawiania pytań. Wiedziałam, że o cokolwiek zapytam, natychmiastową reakcją będzie: „A w słowniku patrzyłaś?”. Choć miało to tę dobrą stronę, że faktycznie od najmłodszych lat wpojono mi w ten sposób nawyk i umiejętność korzystania z leksykonów i encyklopedii. Najgorzej jednak było, gdy rodzice postanawiali jednak odpowiedzieć na któreś z moich pytań. Działo się tak prawdopodobnie wtedy, gdy przypadkiem trafiłam na kwestię, która leżała w polu ich zainteresowań. Wtedy miałam jak w banku, że odpowiedź będzie bardzo długa, zawierająca mnóstwo szczegółów, które wydawały mi się zbędne albo których nie rozumiałam. Zamiast wdzięczności budziło się we mnie zniecierpliwienie.

Choć zdarzało się oczywiście, że wyczerpującej odpowiedzi wysłuchałam z zainteresowaniem i z podziwem pytałam: „Tatusiu, a skąd ty to wszystko wiesz?”. Wtedy padała zbijająca mnie z tropu odpowiedź: „Kulturalny człowiek takie rzeczy po prostu wie”.

Praca rodziców, pochylonych do późna w nocy nad biurkami, wydawała mi się tajemnicza i fascynująca. Gdy rodzice szli do pracy, zostawiając mnie pod opieką babci, dotykałam wszystkiego, co znajdowało się na blatach. Prawdopodobnie moje myszkowanie zostawiało ślady, bo któregoś dnia tata oznajmił, że nie wolno mi dotykać jego sekretrety, gdyż jest pod prądem. Uwierzyłam, ale nie zamierzałam zrezygnować ze szperania: wiele, bardzo wiele dni spędziłam, przyglądając się temu potężnemu meblowi o wielu szufladach i skrytkach, dumając, gdzie też znajduje się wyłącznik albo chociaż kabel i gniazdko.

Opisując wspomnienia z dzieciństwa, nie napisałam najważniejszego: że przez codzienne obserwowanie rodziców, mimowolne przysłuchiwanie się ich rozmowom o języku i pracach badawczych, uczyłam się podświadomie elementów warsztatu naukowego, czyli jak szukać odpowiedzi w leksykonach, jak cytować, począwszy od zbierania materiałów i ich badania, do znaków korektorskich w tekście skierowanym do druku. Uczyłam się tego tak, jak dziecko szewca czy krawcowej uczy się warsztatu, przyglądając się rodzicom przy pracy.

Pamiętam mój zachwyt nad „miarką Pisarka”. Natychmiast rzuciłam się do sprawdzania trudności czytanych przeze mnie czasopism. Rozczarowana, że *Świerszczyk* i *Płomyczek* mieszczą się w przedziale „bardzo łatwe”, postanowiłam sięgać po gazety i książki dla dorosłych, w których spodziewałam się lepszych wyników. Potykając się co chwila o nieznanne mi słowa, sprawdzałam je w słowniku. Miarka Pisarka posłużyła więc w moim przypadku nie tylko do dzieciennego badania zawartości prasy, ale też do wzbogacenia słownictwa.

Ojciec nauczył mnie też myślenia wbrew utartym szlakom. Kiedy przyszedłam do domu zapłakana, że w szkolnym przedstawieniu „Kopciuszka” dostałam rolę złej siostry, a nie tytułową, to on, zamiast banalnie pocieszać ośmiolatkę łkającą, że „to dlatego, że nie mam złotych włosków! Tatusiu, dlaczego ja nie mam złotych włosków?!”, uświadomił mi po prostu, że wcielenie się w czarny charakter jest o wiele ciekawszym zadaniem. Później, w liceum, kiedy mieliśmy przygotować obronę – do wyboru – Antygony lub Kreona, jako jedyna w klasie wybrałam Kreona, kierując się przypuszczeniem, że tak poradziłyby mi ojciec: Obronić Antygonę to banał. Sztuka to znaleźć argumenty tłumaczące postępowanie Kreona.

Uczyłam się bardzo dobrze, ale nie byłam grzeczną uczennicą. Mama wcześniej odmówiła chodzenia na wywiadówki i podpisywania mnożących się uwag w dzienniczku. Robił to, wzdychając, zniecierpliwiony tata. Z reguły podpisywał je bez komentarza, ale raz, niestety nie pamiętam, co przeskrobałam, kazał mi wyciągnąć ręce przed siebie, następnie uderzył mnie dłonią po palcach i wpisał do dzienniczka: „Została ukarana”. Na wywiadówkach robił szczegółowe notatki, spisywał całe frazy wypowiedziane przez wychowawczynię i rodziców, wyłapując niezręczności stylistyczne i śmieszności sformułowań i po powrocie do domu

odczytywał te notatki na głos. Bez komentarza. Uwielbiałam ojca poczucie humoru: często kąśliwe, ale nigdy nie złośliwe.

Ośrodek Badań Prasoznawczych zdobywał coraz większą renomę również poza granicami kraju. Tata zaczął sporo podróżować, biorąc udział w konferencjach i sympozjach na całym świecie. Nie miałam wtedy świadomości znaczenia i powagi jego naukowych dokonań ani rangi jego kontaktów. Było mi go brak, gdy wyjeżdżał, ale jego częste nieobecności osładzały przywożone z zagranicznych wojaży drobne upominki i opowiadane anegdoty.

Teraz dopiero uświadamiam sobie, że najchętniej opisywał historyjki związane z językiem. Jak tę o pewnej Wenezuelce, uczestniczce konferencji naukowej w Berlinie czy Dreźnie, która nie znając niemieckiego na tyle dobrze, żeby umieć utrzymać konwersację, przyswoiła sobie jedno słowo „vielleicht” (być może). Wypowiadała je, kokieteryjnie przechylając głowę, uśmiechając się do rozmówcy, z pytającą intonacją i... z błędem: vilajft? Tata rozwodził się nad jej językową intuicją, zauważając, że „być może” jako odpowiedź pasuje zawsze.

Pląkał też ze śmiechu, opowiadając niefortunny lapsus pewnego ambitnego czeskiego uczonego, który przed przyjazdem na konferencję w którymś z niemieckich miast postanowił wzbogacić słownictwo o zwroty frazeologiczne. Gdy gospodarz, dyrektor instytutu naukowego, przedstawiał mu swoją żonę, Czech odparł, elegancko się kłaniając: *Dieses Schwein habe ich schon in der Bibliothek gehabt* (dosłownie: tę świnię miałem już w bibliotece), myśląc, że prawidłowo zastosował idiom „Schwein haben” = „mieć szczęście”.

Byłam w liceum, kiedy tata stał się popularny przez udział w pogadankach o języku w Studio 2. O tym, jaką popularnością się te pogadanki cieszyły, może świadczyć fakt, że kiedy tata miał wypadek na motocyklu, bo chłop wyładowaną furmanką zajechał mu drogę, przybyły na miejsce wypadku milicjant rozpromienił się na jego widok, mówiąc: „Ach, jak to dobrze, że pana widzę! Wreszcie się dowiem, czy mówi się klusek czy kluska!”

Moi koledzy w klasie droczyli się ze mną, pytając: „Czy będzie dzisiaj waleriana?”. Nieprzyjemną konsekwencją rosnącej popularności taty jako autorytetu językowego było to, że nauczyciele jakikolwiek błąd, choćby drobny, wytykali z satysfakcją: „No jak to? Cóрка t a k i e g o ojca?!”. Z takimi reakcjami spotykam się zresztą do dzisiaj.

Przejęłam od taty zwyczaj nieustannego czytania. Podczas gotowania niedzielnego obiadu tata zerkał do rozłożonej na stole gazety. Czytał w tramwaju, czytał, stojąc w kolejce. Staralam się go naśladować, a nawet prześcignąć i zaczęłam czytać również, idąc. Kiedyś zatrzymał mnie, idącą z nosem w utkwionym w książce, milicjant. Ponieważ nie byłam pełnoletnia i nie mógł ukarać mnie mandatem, wysłał powiadomienie do miejsca pracy ojca. Kilka dni później przysłała do OBP kartka pocztowa: Zawiadamiamy pana/panią, że syn/córka Dorota – tu następowała wykropkowana linijka, a pod nią drobnymi literkami instrukcja dla milicjanta „opis czynu w skrócie”. Zdanie wpisane tam przez milicjanta brzmiało: „Przechodziła przez jezdnię czytając książkę”. Tata, pokazując mi tę kartkę, pogłaskał mnie po głowie i powiedział: „Ale na jezdni, córeczko, to jednak nie”.

Ojciec nauczył mnie też, jak pisać. Powtarzał: „Nie zaczynaj «od początku». Bo to, co napiszesz najpierw, to jest na rozgrzewkę. Zaczynaj «ze środka»”. Pamiętam, jak pokazałam mu jakieś wypracowanie domowe, a on bez czytania skreślił początkowe pół strony. Gdy zaczęłam lamentować, powiedział zniecierpliwiony: „Nikogo nie interesuje, jak rozpalasz w piecu. Kontakt czytelnika z tekstem ma być kontaktem z rozpalonym piecem”. Zapamiętałam to zdanie i moje zaskoczenie, gdy przeczytałam moje wypracowanie bez tego skreślonego akapitu – oczywiście na tym skrócie zyskało. „Retorykę dziennikarską” przeczytałam wielokrotnie. Kieszonkowy słowniczek ortograficzny autorstwa taty leży zawsze w zasięgu ręki. Wbrew dedykacji: „Dorocie, której to niepotrzebne – autor”.

Byłam już studentką pierwszego roku. Siedzieliśmy kiedyś wieczorem w fotelach, popijając herbatę. Rozmawialiśmy, zdawało mi się, jak dwoje dorosłych. Zapytałam go: „Jak to jest, jak się miało najpierw małego dzidziusia, potem dziewczynkę, a potem to dziecko siedzi naprzeciwko jako dorosła osoba?”. Ojciec odpowiedział natychmiast: „Trudno mi powiedzieć, jeszcze nie byłem w takiej sytuacji”.

Zranił mnie tym? Nawet bardzo. Ale znałam go dobrze. Był przekorny. Lubił prowokować. Uznałam więc wtedy, że chce mi dać w ten sposób do zrozumienia, że dwudziestoletniej pannicy nie uważa za osobę dorosłą. Ale kiedy wspominał teraz, jak w ostatnich latach, za każdym razem gdy przyjeżdżałam w odwiedziny do Krakowa, witał mnie, promieniejąc z radości, otwierając szeroko ramiona, całując w czoło i powtarzając za każdym razem wzruszony „moja córeczka przyjechała”, wiem, że mimo mojego dojrzałego wieku i siwiejących włosów dla niego pozostałam zawsze dzieckiem. Tatusiową córeczką.